



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zbigniew Grzywacz

Okruchy wspomnień

– „Tu Polskie Radio na falach wszystkich rozgłośni! Mówi do Was Warszawa, Baranowicze, Łódź, Poznań, Toruń, Katowice, Kraków, Lwów i Wilno! Rozpoczynamy specjalną audycję. Jest 8 maja 1945 roku. Za chwilę nastąpi podpisanie przez przedstawicieli armii niemieckiej aktu bezwarunkowej kapitulacji, wobec przedstawicieli armii sojuszniczych! I oto na salę wchodzi delegacja niemiecka z feldmarszałkiem Keitlem na czele. Z pruską butą, salutując buławą marszałkowską, z monoklem w oku, stara się jeszcze zachować pozory teutońskiej pychy...”

Z głośników na terenie placu apelowego górnego obozu Konzentrations-Lager Mauthausen płyną słowa spikera relacjonującego dalszy przebieg tego historycznego momentu. Jakim cudem wtedy, zaledwie 3 dni po wyzwoleniu obozu przez oddziały frontowe armii USA, udało się zorganizować tę transmisję, a zwłaszcza nagłośnienie terenu? Do dzisiaj jest to dla mnie zagadką. Słuchając transmisji z zakończenia najstraszniejszej z wojen, zaczynam w wyobraźni oglądać minione dni. Jedne widzę jak przez mgłę, inne są bardzo wyraźne. Migawki pierwszych dni wojny. Pierwsi zabici po bombardowaniu w dniu 12 września na osiedlu na Kole w Warszawie. Strzępy audycji i komunikatów radiowych...

I oto pierwszy wyrazisty obraz. Jest 9 września. Ojciec mój, tak jak i tysiące innych mężczyzn opuścił wczoraj Warszawę. Ja wraz z matką siedzę od rana w naszym mieszkaniu przy ul. Chłodnej 32A i przez kilka godzin robię specjalną maszynką papierosy. To znaczy mam przed sobą pudło z gilzami „Herbewo”, drugie pudełko z tytoniem i tą prostą maszynką nabijam gilzy tytoniem. Około południa matka zabiera mnie z sobą i wychodzimy biorąc kilkaset zrobionych papierosów. Mijamy bramę. Aby przejść na drugą stronę ulicy do sklepu owocowo-warzywnego musimy czekać jakiś czas, gdyż środkiem jezdni, od strony Woli ciągnie sznur wojskowych wozów. Wreszcie jest mała przerwa. Przebiegamy do sklepu. Teraz dopiero rozumiem cel naszej wyprawy. Sklep jest wypełniony arbusami. Mama kupuje kilka sztuk i każe pokroić na duże kawałki (chyba na ósemki). Wychodzimy na ulicę, którą znów ciągną szeregi wozów. Siedzący na nich żołnierze są zmęczeni, brudni, pokryci kurzem. Wielu z nich jest zabandażowanych. To głowa, to ręka. Na niektórych bandażach czerwono-różowe plamy przeciekającej krwi. Konie też zakurzone, stępa i z widocznym zmęczeniem ledwie ciągną wozy.

Naraz zbliża się do nas wóz, na którym oprócz kilku innych siedzi żołnierz z nieopatrzoną raną lewego policzka. Dosłownie kawał żywego ciała zwisa mu z boku, obok brody, a wzrok ma otępiały. Nie reaguje na nic. Podbiegam z mamą do tego wozu i daję temu rannemu kawał arbuza i garść papierosów. Ożywił się nagle. W wyciągnięte ręce wziął papierosy i ten kawałek arbuza, ściskając w tym czasie między kolanami swój karabin. Twarz jego drgnęła, jakby chciał podziękować, ale widocznie nie mógł mówić na skutek rany, tylko spojrzał na mnie takim wzrokiem, który do dziś pamiętam, a w którym było największe chyba podziękowanie jakie w życiu otrzymałem.

Oczywiście i inni na tym wozie też zostali przez nas obdarowani. I tak jeszcze przez kilka minut wręczaliśmy z mamą kawałki arbuza i papierosy, aż rozdaliśmy wszystko, co mieliśmy. I to mogę chyba nazwać moim pierwszym wkładem do walki o wolność, o Polskę!

Obraz tego rannego tak mi utkwił w pamięci, bo mimo iż rana wyglądała tak strasznie, to nie zrobiła na mnie wrażenia w tym sensie, że nie odczułem żadnych mdłości, ani słabości. Jedyne co czułem, to tylko litość dla tego żołnierza i to tym większą, że chociaż miałem dopiero 9 lat zrozumiałem, że on cierpiał za Polskę i został ranny broniąc także i mnie.

Następnego dnia, 10 września wrócił ojciec. Opuszczając Warszawę dotarł pieszo aż do Józefowa, ale ponieważ podczas noclegu w jakichś żydowskich betach został pogryziony przez pluskwy, zbuntował się i zawrócił, twierdząc, że w stolicy bardziej się przyda.

Mijają dni... Jest coraz ciężej i straszniej. Nie tylko samoloty bombardują miasto, ale zaczął się też ostrzał artyleryjski. Mimo bardzo przecież młodego wieku zaczynam obserwować ludzi i kojarzyć zdarzenia. Wobec zauważonych przypadków zasypania żywcem ludzi w piwnicach podczas bombardowania, schodzimy w czasie nalotów z trzeciego piętra tylko na parter do sąsiadów Poznańskich. Tak jakby to coś mogło pomóc! Chyba wydawało nam się, że jak dom będzie się walił, to zdążymy uciec na zewnątrz.

Niedziela, 17 września. Siedzimy na parterze u Poznańskich. Jest też kilka innych osób, z innych pięter, które naszym śladem „przeniosły się” na parter. Nagle pod wieczór (bo już szarzało za oknem) wpada do mieszkania pan Poznański i – zupełnie jak nie mężczyzna – spazmatycznie płacze! Nie sposób słowa z niego wydusić. Co się stało? Wreszcie po chwili rozdierającym głosem woła przez szloch: „Sowieci napadli na nas!!!”

Odpowiedzią jest powszechny wybuch płaczu wszystkich zebranych. I wtedy po raz pierwszy przygnębiająco dźgnęła mnie myśl: „Wszystko przepadło” – chociaż jeszcze nie w pełni zdawałem sobie sprawę z tego co to znaczy.

Bombardowanie, ostrzał artyleryjski coraz cięższy, brak żywności i wody, są zabici i ranni, także w naszym domu. W naszym mieszkaniu odłamek wybił szybę w górze okna, uderzył w solidny dębowy stół w jadalni żłobiąc w nim dziurę, odbił się aż do sufitu (znów dziura) i spadł na kredens. Na szczęście nikogo nie było w pomieszczeniu.

I wreszcie czarny „lany poniedziałek” 25 września. Od świtu aż do zmroku huraganowy ostrzał i stałe bombardowania. W oficynę naszego domu, w jego ostatnie czwarte piętro trafia pocisk. Od odłamków są zabici i ranni. Jedną ciężko ranną kobietę odnoszą do szpitala Św. Ducha na ul. Elektoralnej, gdzie 26 lub 27 września spłonie żywcem podczas bombardowania, kiedy to samoloty niemieckie ostrzeliwały z broni pokładowej ludzi próbujących gasić lub ratować chorych i rannych znajdujących się w budynku.

Nadszedł dzień 28 września. Kapitulacja! I jakaś dziwna cisza po tym, co przeżyliśmy przez te cztery tygodnie. Czy rzeczywiście cisza? Po raz pierwszy od wielu dni wyszliśmy z matką na ulicę. Poszliśmy ot tak, w kierunku mojej szkoły – „Gimnazjum i Liceum Zgromadzenia Kupców m. st. Warszawy” na rogu ulic Waliców i Prostej, przy którym mieściła się również szkoła powszechna. Idąc ulicą Waliców widzimy gruzy zbombardowanych domów zaścielające jezdnię i kilka płonących kamienic. Wreszcie dochodzimy. Przepiękny, wielki, nowoczesny 3-piętrowy budynek (w roku 1938 nadbudowano ostatnie piętro, w którym mieściła się szkoła podstawowa) stał cały w ogniu! To płonęła jakaś częśćka mnie! Huczały płomienie, bezpowrotnie niszcząc pamięć moich najpiękniejszych lat nauki. Tu ginęły wspomnienia o pierwszych w życiu serdecznych przyjaźniach i koleżeństwie! Budynek tej szkoły wyremontowany prowizorycznie przez Niemców, znalazł się później na terenie małego getta. Była w nim wytwórnia bielizny dla Wehrmachtu, a pracowali tam sami Żydzi. Nawet po likwidacji małego getta, będąc po „aryjskiej” już stronie, zakład nadal produkował bieliznę. I chociaż zlikwidowano duże getto, aż do Powstania Warszawskiego pracowali tam zamknięci Żydzi.

Tak, to nie była cisza! Ale to nie był huk wybuchów bomb i pocisków, ani przerażające wycie nurkujących samolotów i przenikliwy gwizd lecących bomb. To był huk płomieni i co chwila trzask pękających i walących się domów. Ale to było tak inne od dźwięków wszechobecnych przez ostatnie cztery tygodnie, że naprawdę początkowo wydawało mi się ciszą.

Następnego dnia już sam, bez matki, ale za to z kolegą z podwórka (Jurek Zieliński, starszy o dwa lata) wypuściliśmy się na dalszy spacer. Dzisiaj nie pamiętam już którą szliśmy i co widzieliśmy. Doszliśmy jednak aż do Pola Mokotowskiego przy Politechnice. Na skraju Pola Mokotowskiego, po drugiej stronie ulicy 6-go Sierpnia, pomiędzy Polną a szpitalem im. Marszałka Józefa Piłsudskiego zobaczyliśmy jakieś drzewa, jakieś okopy i w jednym miejscu CKM. Nawet miał założoną taśmę, częściowo z nabojami, ale jakiś taki porzucony, samotny i opuszczony przez wszystkich! Zupełnie jak cała Polska opuszczona we wrześniu 1939 roku przez aliantów i taka samotna!

Pierwszego października Niemcy wkroczyli do Warszawy, a w kilka dni później odbyła się w Alejach Ujazdowskich uroczysta defilada przed Hitlerem. Sprzed mojego domu mogłem obserwować tylko wyrównane eskadry samolotów lecących nad trasą defilady. Ciekawe, ale po odleceniu dość daleko,

samoloty dużym łukiem zawracały i ponownie nadlatywały nad trasę defilady. W ten sposób Luftwaffe ośmieliła się oszukiwać swego Führera, pozornie zwiększając swoją liczebność przez kilkakrotne powtarzanie tego manewru. Już w październiku 1939 roku!

Powoli życie zaczyna się „normalizować”. Mojej szkoły już nie ma, ale na ul. Elektorальной, mniej więcej *vis à vis* wypalonych zgliszczy wspomnianego szpitala, ocalał budynek szkoły powszechnej, w której rozpoczęto naukę. Jest to jedna z nielicznych uruchomionych w tym okresie szkół. Nauka na cztery zmiany. Ścisk ogromny – w klasach chyba po 40 uczniów, a może i więcej.

Pewnego dnia, kiedy wracałem ze szkoły zauważyłem kolumnę kilku wojskowych samochodów ciężarowych, stojących przy chodniku na odcinku ul. Chłodnej pomiędzy kościołem a ul. Żelazną. Jak to każdy chłopak – interesowałem się techniką. Stałem więc obok jednego z nich i przez otwarte drzwi szoferki zacząłem patrzeć do wnętrza. Po kilku chwilach siedzący przy kierownicy żołnierz niemiecki spojrzał na mnie. Przez moment patrzyliśmy na siebie; wtem żołnierz sięgnął do schowka i wyciągnął do mnie rękę z... czekoladą! Oburzony odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Ja miałbym wziąć cokolwiek od Niemca? Dzisiaj po tylu latach zastanawiam się jednak – a może to był normalny ludzki odruch? A może prowokacja, bo gdzieś obok mógł czatować inny Niemiec z aparatem fotograficznym, by uwiecznić „dobroć” żołnierza niemieckiego?

Po kilku zaledwie tygodniach nauki w tej szkole, gdzieś w drugiej połowie listopada, rodzice i grono nauczycielskie mojej „przedwojennej” szkoły organizuje tajne komplety nauczania. Zajęcia odbywają się w mieszkaniach uczniów, w tym i w moim przy ul. Chłodnej 32A. System jest taki, że zajęcia w jednym mieszkaniu trwają przez cały tydzień, a przez następny już w kolejnym mieszkaniu. Ponieważ liczebność kompletów jest poniżej 10 uczniów (najczęściej 8), więc nauka do tego samego mieszkania wraca po około 2 miesiącach.

Nadeszła pamiętna zima 1939/40. W mieszkaniach zimno. Głód. Moja przedwojenna wychowawczyni, która uczy nas teraz na kompletach, pani Zofia Lewandowska (tuż przed wakacjami 1939 wychodzi za mąż i teraz nazywa się Lorek), rozmawia z rodzicami i stwierdza, że jednak ten system nauki jest zbyt niebezpieczny dla takich „maluchów” jak my (to była III klasa). Dociągnęliśmy jednak do końca roku szkolnego 1939/40. Od nowego roku szkolnego jesteśmy już w „oficjalnej” szkole nr 11, która przed wojną miała numer 139 i nosiła imię gen. J. Sowińskiego, a popularnie nazywała się „u Tramwajarzy”, jako że jej piękny gmach, który ocalał we wrześniu 1939 roku stoi obok zajezdni tramwajowej przy ul. Młynarskiej, a najliczniejsza grupa uczniów to dzieci pracowników tramwajów. Naszą wychowawczynią aż do ukończenia nauki w 1944 roku jest niezapomniana pani Jadwiga Pusłowska, zresztą znajoma pani Zofii Lorek.

Pozostawmy na razie na uboczu moją „edukację”. Wrócimy do niej w roku szkolnym 1943/44. Chociaż dużo by można i tu ciekawego opowiedzieć, jak chociażby o tułaczce i kolejnych zmianach adresu naszej szkoły, wyrzucanej przez okupanta z kolejnych budynków. Przeżyłem też kilka przeprowadzek wynikłych z tworzenia getta i zmiennych koncepcji obszaru miasta wydzielonego na ten cel. Wspomnę tu tylko o dłuższym, ponad półtorarocznym zamieszkiwaniu przy ul. Grzybowskiej 45 (w tym miejscu stoi dziś nowoczesny gmach mennicy państwowej). Otóż okna naszego mieszkania na I piętrze wychodziły na ul. Żelazną i pod oknami była akurat brama wjazdowa do getta. Brama do naszego domu była natomiast od strony ul. Grzybowskiej, czyli już w getcie. Aby uniknąć stałych konfliktów z wachmanami, którzy nie rozumieli, że do naszego „aryjskiego” domu trzeba wejść przez bramę getta, wykonano w końcu na parterze korytarz i drzwi-furtkę od ul. Żelaznej, czyli po „aryjskiej” stronie. Dom ten był budynkiem pofabrycznym i oprócz mieszkań mieściły się w nim na parterach różne zakłady, m.in. pod naszym mieszkaniem była wytwórnia beczek dębowych Wilkońskiego, przez którą to wytwórnię początkowo wychodziliśmy na Żelazną, aż do chwili wykonania dodatkowego wyjścia, o czym wyżej pisałem.

Wspominam o tym dlatego, że władze jakoś początkowo „zapomniały” o bramie do getta na ul. Grzybowskiej. Dzięki temu przez wiele tygodni, a nawet miesięcy, przez nasz dom, prawie pod oczami niemieckiej wachy, szedł regularny przemyt do i z getta! Ja sam osobiście wielokrotnie przeprowadzałem tędy małe, kilkusobowe grupki dzieci żydowskich z żywnością (z reguły były to warzywa, głównie ziemniaki, czasami marchew, pietruszka, bardzo rzadko kasza). A ponadto sam korzystałem chodząc na teren getta, gdzie tańszy był fryzjer, taniej kupowałem zeszyty, papier, tekturę, stalówki, atrament. Jednak po pewnym czasie „władze” zorientowały się w sytuacji i od ul. Żelaznej wzdłuż Grzybowskiej, aż do bramy naszego domu postawiły parkan, odcinając bramę domu od getta. Ale i tu zawiodła niemiecka pedanteria i dokładność, bo następny dom – Grzybowska 43, w którym nie było już mieszkań, tylko jakieś zakłady i warsztaty nadal miał bramę w getcie. Od czegoż więc pomysłość i spryt naszych Polaków? Po prostu w osłoniętym kącie naszego podwórka, za jakąś wolno stojącą szopą, przebito dziurę w murze oddzielającym nasz dom od posesji Grzybowska 43 i „szlak” – chociaż ograniczony i trudniejszy (bramę posesji Grzybowska 43 otwierano później i zamykano wcześniej) – został jednak przywrócony. Kiedy późną jesienią (chyba w październiku) 1942 roku wyprowadziliśmy się z Grzybowskiej, przejście to jeszcze działało.

Na skutek posunięć władz zmniejszających teren getta, odcinek ul. Chłodnej od Żelaznej do Kercelaka „powrócił na aryjską stronę”. Udało się nam powrócić na „stare śmiecie”, na Chłodną 32A. Ale pozostali lokatorzy tego domu byli już całkiem inni. Nowe podwórkowe znajomości, nowe koleżanki i koledzy, nowe przyjaźnie i moja pierwsza, chociaż jeszcze smarkata miłość.

We wrześniu 1943, będąc uczniem VII klasy „u Tramwajarzy” rozpocząłem równoległe (wg przedwojennego programu) naukę w I klasie na tajnych kompletach Gimnazjum im. A. Mickiewicza. Teraz system był inny. Zajęcia wprawdzie odbywały się również w mieszkaniach uczniów, komplety też nie przekraczały 10 osób, ale każdego dnia u innego. Często też plan lekcji był taki, że tego samego dnia część zajęć była w jednym mieszkaniu, a część w innym, nieraz w zupełnie innej dzielnicy. Który system był lepszy? Czy ten, o którym wspomniałem poprzednio, gdzie grupka dzieciaków przez cały tydzień przychodziła w jedno miejsce, a potem „znikała” na kilka tygodni, czy też obecny, kiedy raz lub dwa razy w tygodniu w tym samym miejscu, w tych samych dniach i o tej samej porze zjawiała się grupka wyrostków? Sam nie wiem.

W tym okresie piętro niżej (to jest na II p.) pod nami mieszkała bardzo sympatyczna rodzina Berłowskich. Pan Władysław pracował jako kontroler w tramwajach. Miał żonę, córkę i 20-letniego syna Ryszarda. Niestety imion pań nie pamiętam. Pan Ryszard był w konspiracyjnej podchorążówce AK. Którejś październikowej niedzieli 1943 roku siostra pana Ryszarda brała ślub w kościele pod wezwaniem św. Karola Boromeusza przy ul. Chłodnej. Będąc wówczas ministrantem służyłem do mszy podczas tej uroczystości. Potem w mieszkaniu pod nami było wesele, ale niezbyt głośne. Następnego dnia, to jest w poniedziałek późnym wieczorem, już po godzinie policyjnej, gdzieś chyba około 23.00 obudziły nas przeraźliwe krzyki i płacz. To piętro niżej „urzędowało” Gestapo. Aresztowano całą rodzinę, w tym i męża siostry pana Ryszarda. Niestety imienia i nazwiska jego nie pamiętam. Zostali wydani przez zdrajcę współpracującego z Gestapo. Zdrajca ów po kilku tygodniach otrzymał „w nagrodę” mieszkanie po swych ofiarach. Wspomnę jeszcze o nim dalej.

Podczas „wizyty” gestapowców w mieszkaniu państwa Berłowskich zdarzyło się coś, co zakrawało wprost na cud. Oto jeden z gestapowców, pilnujący w przedpokoju wejścia do mieszkania, oparł się plecami o drzwi do ubikacji, w której akurat był pan Ryszard. Ponieważ siedział cicho, jakoś go „przeoczyli”. Po zakończeniu swych „czynności” wyszli, zapominając zajrzeć do ubikacji! Była noc, ale w całym domu mało kto spał. Gdy Gestapo z uwięzionymi opuściło już dom, pan Ryszard wiedząc, że mieszkanie jest zamknięte i opieczetowane od zewnątrz, ostrożnie wyjrzał na balkon. W mieszkaniu obok naszego nocował zameldowany w nim lekarz Kazimierz Kawecki (właściwie Józef Wierzbowski) – oficer AK. Zobaczył z ukosa pana Ryszarda i dał mu znak, a za chwilę rzucił mu na balkon sznur do suszenia bielizny. Pan Ryszard po sznurze tym spuścił się na balkon piętro niżej i przez to mieszkanie wyszedł na podwórko. Był jednak środek nocy, a nawet później, bramy pozamykane, godzina policyjna. Ale znalazł się na to sposób. Podwórko naszego domu 32A łączyło się z podwórkiem domu 32 (gdyż rozgradzająca je siatka jeszcze we wrześniu 1939 roku została zdjęta), więc pan Ryszard poszedł do znajomego mieszkającego pod tamtym numerem, by przeczekać do rana. Niestety, wyczyn ten nie zdał się na nic, gdyż znajomy ten (nazwiska nie znam) okazał się tchórzem, a co gorsza świnią. Zaraz rano pobiegł do znajdującej się kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy Chłodnej (róg Żelaznej) tzw. Nordwachy. Ryszarda Berłowskiego aresztowano więc zaledwie kilka godzin po zabranii jego rodziny. Koniec sprawy był, jak zdecydowanie większość podobnych przypadków, bardzo tragiczny. W dniu 11 lub 14 grudnia 1943 roku Władysław i Ryszard Berłowski oraz zięć pana Władysława zostali straceni w masowej egzekucji (ponieważ w tych dwóch dniach wykonano cztery egzekucje w różnych miejscach: przy ul. Leszno 5, ul. Wierzbowej 9, ul. Bonifraterskiej pod murem getta i na terenie ruin getta, nie wiem w której z nich zostali rozstrzelani). Los żony i córki pana Władysława Berłowskiego nie jest mi znany. Mówiono, że zostały zamordowane w skrytobójczej egzekucji w ruinach getta, to znów że wywieziono je do Oświęcimia.

Po tym incydencie, który wywarł na mnie istotny wpływ, trzeba było niestety zlikwidować w moim mieszkaniu punkt tajnych kompletów Gimnazjum im. A. Mickiewicza. Rozmawialiśmy szeroko o tym wydarzeniu w grupce najbliższych mi kolegów szkolnych i wprost zaczęliśmy się „wiercić” próbując „złapać jakiś kontakt”. Wreszcie w końcu lutego 1944 roku poszedłem jak zazwyczaj odwiedzić „podwórkowego” kolegę z drugiej klatki schodowej, Witka Kałuszko. W jego mieszkaniu był jakiś nieznany mi dotąd przyjaciel Witka. Chłopak był starszy o dwa lata, ale bardzo drobny i niskiego wzrostu, z którego to powodu został później przez nas nazwany „Kruszynką”. Jak się po paru dniach okazało, był on patrolowym (zastępowym) w konspiracyjnej organizacji „Zawisza” (najmłodszy pion „Szarych Szeregów”, czyli konspiracyjnej ZHP). To był wreszcie ten poszukiwany przez nas „kontakt”.

Po kilku dniach, już na początku marca 1944 roku za zgodą „Kruszynki”, zresztą też i z jego inspiracji, kilku moich kolegów spotkało się w moim mieszkaniu i wyraziliśmy chęć zostania „Zawiszakami”. W ten sposób powstał patrol (zastęp) VII „Orłów” w drużynie OL-200, Roju im. Orłąt Lwowskich Bloku „Zamek” (czyli Śródmieście). W skład patrolu weszli: Grzegorz Marian Bergander pseud. „Magik”, Jerzy Gniadzik pseud. „Słowik”, Zbigniew Jerzy Grzywacz pseud. „Słoń”, Janusz

Jabłoński pseud. „Mechanik”, Jan Waclaw Kaczorowski pseud. „Kanarek”, Witold Kałuszko pseud. „Bocian”, Jerzy Schloetzer pseud. „Śledź” oraz jeszcze dwóch, których przyprowadził „Kruszynka”. Ich nazwisk ani pseudonimów już nie pamiętam. Pamiętam tylko, że jeden mieszkał przy ul. Działdowskiej 6 lub 8 na pierwszym piętrze od ulicy, gdzie raz albo dwa razy mieliśmy nasze zbiórki.

Dowódcą naszego patrolu był Aleksander Puszkarski pseudonim „Wacek”, zwany przez nas potocznie „Kruszynką”. Ja zostałem kronikarzem patrolu. Dowódcą naszej drużyny był drużynowy J. Fiutowski, a później Andrzej Heppen. Niestety pseudonimów obu drużynowych nie pamiętam.

Rozpoczęło się normalne szkolenie według przedwojennego podręcznika „Drogowskaz Harcerski”, oczywiście z uwzględnieniem realiów konspiracji. Zajęcia odbywały się raz na tydzień, początkowo w moim mieszkaniu i u kolegi na Działdowskiej, a jak się ociepliło, to głównie „w terenie”. Spotykaliśmy się na terenie przedwojennego ZOO, na łąkach za pętlą tramwajową na Gocławku. Kiedyś w maju wszystkie patrole naszej drużyny spotkały się na całodniowych ćwiczeniach w lasach między Wawrem a Miłosną. Ćwiczenia miały już charakter bardziej „wojskowy”. Marsze, skryte podejścia, czujki, rzut granatem, orientacja w terenie itp. Innym razem podobne zajęcia odbyły się w lasach w rejonie Struga-Pustelnik. A oprócz tego co jakiś czas kolportaż „bibuły”, nauka prawa harcerskiego, alfabetu Morse’a i innych przydatnych rzeczy.

I wreszcie w końcu maja lub na początku czerwca ta dawno oczekiwana chwila! Składamy „Przyrzeczenie Harcerskie”. Jakieś pomieszczenie, chyba w podziemiach wypalonego w 1939 roku Pałacu Prymasowskiego. Dekoracja we flagi biało-czerwone, biały orzeł i – co najbardziej utkwiło mi w pamięci, podłoga zaścielona zerwanymi z niemieckich budynków hitlerowskimi czerwonymi flagami z „hakenkreutzem” w białym kole. Jest hm. „Kuropatwa” (Przemysław Górecki, później słynny na Zachodzie profesor nauk medycznych) komendant warszawskiej „Zawiszy” (w czasie Powstania Warszawskiego komendant „Poczty Harcerskiej”). Zgodnym chórem zebrana grupka „Zawiszaków” z przejęciem i wypiekami na twarzach powtarza słowa przyrzeczenia: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę...” Od tej chwili coś się w nas zmieniło. Nareszcie jesteśmy prawdziwymi... No kim? Harcerzami tak, ale i coś więcej... Nasza działalność coraz częściej wiąże się teraz ze sprawami „wywiadu”. Oczywiście są to bardzo proste zadania, ale równie niebezpieczne. Należy np. przez jakiś czas (zwykle pół do jednej godziny) w określonym miejscu i określonej porze obserwować ruch pojazdów wojskowych. W którą stronę jadą? Na wschód czy na zachód? Jakie to pojazdy i ile ich? Starać się zorientować co wiozą, a jeśli żołnierzy to ilu. Albo obserwować określoną osobę – czy i o której wyszła z domu, gdzie idzie, czy po drodze gdzieś wstępuje, czy się z kimś spotyka. I nie wolno robić żadnych notatek, tylko wszystko zapamiętać i po „zejściu z posterunku” złożyć dokładny ustny meldunek w wyznaczonym miejscu patrolowemu lub innej dyżurnej osobie. Nie zaniechano jednak i innych poprzednich działań, jak np. kolportaż „bibuły”.

Kończy się czerwiec. Coraz częściej w nocy alarmy i naloty samolotów sowieckich, które jako „obiekty wojskowe” wybierają prawie wyłącznie domy mieszkalne. Giną niewinni ludzie, walą się w gruzy domy, a okupantom przynosi to tyle szkody, co brudu za paznokciem! Toteż po raz pierwszy „solidaryzuję się” z okupacyjnym szmatławcem „Nowy Kurier Warszawski”, który po jednym z tych nalotów wydrukował wiersz kończący się słowami:

„... Naloty te są bezcelowe,
A bomby też bez celu!”

Niestety, prawda to. Nic dodać, nic ująć. Dobiega też końca rok szkolny. Bardzo dużo pracy, bo równolegle trzeba zaliczać dwie szkoły: VII klasę, czyli koniec szkoły powszechnej „u Tramwajarzy” oraz na tajnych kompletach I klasę Gimnazjum im. A. Mickiewicza. Nauka idzie mi dobrze, choć wymaga wysiłku. Trochę kłopotów mam z językiem angielskim, ale w końcu udało mi się je pokonać. Za to łacina idzie mi prawie śpiewająco. A przecież u „Zawiszaków” nie było taryfy ulgowej w wykonywaniu codziennych zadań. I ministrantura.

Kończę I klasę u „Mickiewicza” i otrzymuję promocję do klasy drugiej. W dniu 30 czerwca kończę szkołę „Tramwajarzy”. Podczas uroczystości ukończenia nauki, w której biorą udział wszyscy siódmoklasiści, namówiony przez kolegów siadam do pisania. Uwertura Franza von Supée „Lekka Kawaleria”, kilka innych utworów, w tym jakieś piosenki harcerskie (szczegółów już nie pamiętam). Kończę fortissimo „Warszawianką” ku zdumieniu nauczyciela śpiewu, który wręcz uwziął się na mnie wciąż twierdząc, że nie znam się na nutach (ja gry uczyłem się już 3 lata przed wojną u pani Urstein, cici znanego po wojnie pianisty – akompaniatora prof. Stanisława Ursteina) oraz ku przerażeniu co strachliwszego „ciała pedagogicznego”, gdyż w tym czasie szkoła nasza mieściła się róg Leszna i Żelaznej (dawny gmach Collegium Nobilium), dokładnie vis á vis siedziby żandarmerii mieszczącej się w gmachu po drugiej stronie ul. Żelaznej, już za murem getta. Musieli słyszeć!

Następny dzień, 1 lipca 1944 roku znowu zapisze się w mojej pamięci. Od samego rana szykuję się do wyjazdu na wakacje, aby odpocząć po trudach całego roku. Wielkie słowo – wakacje! Wybieram się po prostu do państwa Wroczyńskich, naszych znajomych, mających swoją willę w Józefowie pod Warszawą. Tymczasem około godziny 9.00 słyszę jakiś trzask, potem drugi i trzeci. Za chwilę na klatce

schodowej przeraźliwy krzyk. I tak miałem jeszcze wyjść z domu, więc wychodzę. Na stopniach ciągu pomiędzy podestem drugiego a drugim piętrem leży w kałuży krwi martwy już konfident, który jesienią 1943 roku wydał w ręce Gestapo rodzinę państwa Berłowskich, o czym wyżej wspominałem. Na piersi leży mu kartka papieru z wyrokiem śmierci za zdradę Ojczyzny, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej wydanym przez Sąd Polski Podziemnej. Obok walizka (podobno miał wyjechać na urlop do Reichu w nagrodę za swe „zasługi” – łotr nie zdążył!). Patrę obojętnie na drania i wolno schodzę w dół i wychodzę na ulicę. Tam – nomen omen widzę taką scenę: wrzeszcząca żona konfidenta kuśtyka na swych potwornie koślawych nogach w stronę „Nordowachy” na rogu Żelaznej, a bliżej, około 15 metrów od bramy kłęczy pod ścianą naszego domu jakaś starsza kobieta z głową opartą o ścianę. Drżące ręce złożone – widać się modli. Przechodzę koło niej i słyszę jeszcze drżący szept – „Boże! Tyś nie rychliwy, ale sprawiedliwy...” (podobno była to jakaś krewna państwa Berłowskich – co za traf, że akurat w tym momencie przechodziła koło naszego domu).

Po powrocie z miasta (chyba po około 1 godzinie) na podwórku kilkoro mieszkańców komentuje ostatnie zdarzenie. Dowiaduję się o komicznej (jeśli można w tej tragedii mówić o komizmie) scenie. Otóż gdy wezwani przez wdowę żandarmi szli na miejsce „zbrodni”, najpierw z wielkim szumem weszli „przez pomyłkę” do domu nr 32 (nasz był 32A), jakby nie wiedzieli, że obie posesje dzielą tylko słupki po siatce zdjętej jeszcze w 1939 roku i z jednej doskonale widać, co się dzieje na terenie drugiej. Czyżby germańscy bohaterowie chcieli zasygnalizować „oficjalnie”, że przystępują do „swych czynności”, aby – o ile jeszcze są – chłopcy z podziemia mieli czas się wycofać, by nie musiało dojść do jakiejś konfrontacji? Zaiste, nieprzeniknione są charaktery ludzkie...

Po kilkunastu minutach wychodzę z domu z walizką (musiało to chyba bardzo podejrzenie wyglądać po niedawnych wypadkach) i już po południu jestem u państwa Wroczyńskich w Józefowie.

Mijają dni pięknego lata. Jest ze mną mój serdeczny kolega od I klasy Janek Kaczorowski pseud. „Kanarek”. Nareszcie odpoczywamy! Całe dni spędzamy nad Świdrem kąpiąc się i opalając (czasami aż za bardzo!). Gdzieś około 20 lipca zaczynają do nas docierać pomruki jakby dalekiej burzy. Ale wszyscy wiedzą, że to burza dziejowa gdzieś nad Bugiem odzywa się salwami dział!

Dnia 28 lipca huk armat jest już tak bliski (tak mi się wydaje), że natychmiast postanawiam wracać do domu, do Warszawy. Pociągi elektryczne z Otwocka jeszcze jeżdżą, więc ze swoją walizką pakuję się do zatłoczonego niemilosiernie składu. Pociąg jedzie niemrawo. Często staje. Wreszcie gdzieś w okolicy dzisiejszego przystanku „Olszynka Grochowska” staje i bardzo długo nie rusza. Zeskakuję więc z walizką z dużej wysokości (nie ma tu peronu) i dochodzę po kilkunastu minutach do ul. Grochowskiej. Na szczęście tramwaje jeżdżą, więc po prawie godzinie jestem w domu.

Następnego dnia są moje czternaste urodziny, ale w aktualnej sytuacji ja sam o tym zapomniałem. Tylko mama pamiętała i złożyła mi życzenia. Po południu wpada jeden z członków naszego patrolu i wyraźnie ucieszony tym, że już jestem, przekazuje mi rozkaz – zadanie na dzień 31 lipca – poniedziałek: obserwacja wojskowych transportów kolejowych na linii średnicowej, którą mam prowadzić jeszcze z jednym z chłopców (nie pamiętam już z którym) z wiaduktu i przyczółka mostowego mostu Ks. J. Poniatowskiego. Wszystko według „starych zasad”. Oczywiście zadowolony byłem, że nie zapomniano o mnie.

W niedzielę „biorę kąpiel” i jak wariat, z mokrą głową pędzę do Janka Kaczorowskiego („Kanarka”), który mieszka niedaleko, bo na rogu Chłodnej i Wroniej. On wrócił dzień wcześniej i też otrzymał to samo zadanie co ja, tylko w innym terminie. Wypad ten drogo mnie kosztuje, bo się przeziębilem i powinienem iść do łóżka. Ale w takiej chwili?

W godzinach popołudniowych, w poniedziałek 31 lipca, łazimy więc z kolegą po wiadukcie mostu Poniatowskiego mniej więcej od wysokości ul. Solec, aż w pobliże samego mostu to razem, to osobno i obserwujemy i notujemy w pamięci to, co się dzieje na kolejnej linii średnicowej. Raz czy dwa przelatujące samoloty sowieckie powodują, że musimy chować się za „baszty” do dzisiaj zdołające wiadukt. Wreszcie po około godzinie tej „zabawy” schodzimy z posterunku i idziemy do domu, wymieniając po drodze uwagi i porównując między sobą wyniki obserwacji. Ustalamy, że mimo przeziębienia jutro, to jest 1 sierpnia do południa pojedą do „Kruszynki” (na Goławek) i zdam mu relację z obserwacji.

Mała uwaga – w niedzielę i poniedziałek późnym wieczorem słuchałem wygrzebanego gdzieś z zakamarków radia. Otóż w obu tych dniach udało mi się złapać jakąś stację sowiecką nadającą po polsku. Dokładnych słów nie pamiętam, ale treść ogólnie była taka: „Ludu Warszawy! Armia Czerwona zbliża się do stolicy Polski, żeby ją wyzwolić z faszystowskiej niewoli! Godzina zemsty wybiła! Chwyćcie za broń, a Armia Czerwona dopomoże wam do zwycięstwa! Już najwyższy czas!” Jak się więc to ma do późniejszych bredni superkłamców komunistów? Dlaczego tak bezczelnie i wrednie kłamali przez ponad 40 lat? Odpowiedź może być tylko jedna – bo 1 sierpnia za broń chwycił lud Warszawy, a nie komuniści, którzy w chwili wybuchu Powstania siedzieli pochowani po różnych norach w Warszawie w liczbie „aż” 270 AL-owców i PPR-owców, wobec 40 000 żołnierzy AK!

1 sierpnia 1944 roku jestem zakichany jak diabli. Ledwie patrzę na oczy. Mimo to około godz. 10.00 wychodzę z domu i tramwajami docieram do Ronda Wiatraczna. Dalej już tramwaje nie jeżdżą. O godz. 11.00 rozlega się w całym mieście przeciągły ryk syren (taki jak przy odwołaniu alarmu). Co robić? Ruszam pieszo ul. Grochowską w kierunku Gocławka. Ale nagle słysząc, na razie niezbyt często, wystrzały armatnie czy wybuchy pocisków i od czasu do czasu jakby serie broni maszynowej! I to wszystko od strony Gocławka! Rozumiem, że to najprawdopodobniej pancerne czołwki sowieckie zaczęły walką wchodzić do Warszawy. Żarty się skończyły. I tak nie dotrę na Gocławek. A więc odwrót. Częściowo tramwajami, częściowo pieszo wracam do domu około godz. 13.00 i czekam. Czekam na wieści. W domu nie ma telefonu, żebym mógł zasięgnąć informacji u kogoś z kolegów czy wie co słychać? Czy wie co się dzieje? Czy są jakieś rozkazy? Dzisiaj już wiem, że taka rozmowa nic by nie wyjaśniła, bo Komenda Główna AK, chcąc uniknąć niepotrzebnych strat wśród dzieci (12-16 lat), wyłączyła „Zawiszę” z mobilizacji w godzinie „W”.

Okolo godz. 16.00 słysząc z oddali pojedyncze wystrzały. Wreszcie około godz. 17.00 tuż na ulicy wybucha gwałtowna strzelanina. A więc to już? To naprawdę Powstanie? Nie wytrzymuję, wstaję z łóżka i zbiegam na podwórko. Ostrożnie wyglądam z bramy. Kilkunastu Niemców z bronią w ręku jest na ulicy koło „Nordwaczy” i rozgląda się dookoła. Wtem, z bramy domu vis á vis naszego (chyba Chłodna 27) wychyla się sylwetka z białą-czerwoną opaską na rękę i puszcza serię z PM w kierunku szkopów. Jeden czy dwóch pada, a resztę jakby wymiotło! Tylko z I piętra „Nordwaczy” co chwila wychyla się Niemiec z karabinem i strzela do domu naprzeciwko (czyli Chłodna 28 – róg Żelaznej). W domu tym parter od ul. Chłodnej i od Żelaznej zajmowała cukiernia Zommera, w której stacjo nowało kilkunastu Niemców.

Następnego dnia z rana w naszym domu nie wiem skąd znalazła się grupa powstańców (chyba ze zgrupowania „Chrobry”) i w poprzek ulicy, ukryta za węglem bramy krzykiem „uzgadnia” z powstańcami z domu vis á vis swoje przynależności i plan ataku na „Nordwachę”. Ulica cały czas jest pod ostrzałem z „Nordwaczy” i dalej z budynku szkoły na rogu Chłodnej i Waliców, obsadzonego przez spory oddział żołnierzy z Luftwaffe.

Późnym popołudniem brawurowym atakiem powstańcy zdobywają „Nordwachę” i cukiernię Zommera. Ale ulica nadal ostrzeliwana jest ze szkoły na rogu Waliców i Chłodnej. Około północy z 2 na 3 sierpnia potworny wybuch! Zrywamy się ze snu, przerażeni zbiegamy na dół. Co się stało? Otóż załoga szkoły na rogu ul. Waliców załadowawszy się na samochody uciekła w stronę Woli, zostawiając w budynku placówki kilku żołnierzy. W kilkanaście minut po ucieczce wybuch podminowanego budynku, spowodowany przez „uciekierów”, zrównał z ziemią kilkupiętrowy gmach szkoły, grzebiąc pod gruzami nieliczną załogę pozostawioną przez tych co zwiali i do końca nieświadomą swego przeznaczenia.

Przez cały dzień 2 sierpnia kropił jeszcze deszcz. Rankiem 3 sierpnia olbrzymia radość. W pobliżu nie ma już Niemców! Ulica wolna od ostrzału. Nareszcie można swobodnie wyjść. Dozorca naszego domu, wśród radosnych okrzyków mieszkańców wynosi ukrywane do tej pory dwie białe-czerwone flagi na drzewcach i wywiesza je na ulicy po obu stronach bramy. Ludzie spontanicznie rzucają się do budowania barykad co kilkadziesiąt metrów (w ciągu dwóch poprzednich nocy przez ulicę kilkakrotnie przejeżdżały różne pojazdy, w tym samochody pancerne i chyba lekkie czołgi).

4 sierpnia pogoda zdecydowanie lepsza. Pojawiają się na niebie niemieckie samoloty. Na razie są to myśliwce ME 109, uzbrojone też w lekkie bomby. Ostrzeliwiają domy z broni pokładowej i rzucają bomby gdzie popadnie. Jedna z nich uderza w dom nr chyba 31 lub 33, gdzie mieścił się sierociniec czy dom dziecka. Są liczne ofiary, zabici i ranni.

Jeszcze nie czuję się zbyt dobrze, ale ciągnie mnie „do szeregu”. Tylko gdzie się udać? Gdzie są harczerze? Nie wiem co robić.

Nadchodzi 6 sierpnia. Sytuacja niepewna. Ciężkie walki na Woli, którą systematycznie, chociaż powoli opanowują Niemcy. Przychoǳą wieści o potwornych masowych mordach na ludności cywilnej. Gina mężczyźni, kobiety, starcy, młodzi i maleńkie dzieci! Wszyscy bez wyjątku! Bez pardonu! A wszystkie domy podpalone płoną.

Tym razem wspólnie z ojcem wybieramy się na „rozpoznanie”, ulicami Ogrodową, Tłomackiem i Długą dochodzimy około południa na Barokową, gdzie pod nr 4 mieszkają nasi znajomi – ojciec Janka Kaczorowskiego (rodzice jego niedawno się rozeszli), inż. Badowski (imienia nie pamiętam, ale też nie wiem czy to jego prawdziwe nazwisko, fałszywe, czy może pseudonim). Był on w BIP-ie jako porucznik AK. Jest tu też cukiernik Gogolewski, który dwa domy dalej ma swoją wytwórnię. Cisza, spokój, idylla! Starówka oddycha pełną piersią. Dni wolności. Przed wieczorem wracamy na Chłodną. W nocy siedzimy w piwnicy, bo w mieszkaniu już niebezpiecznie. Wczoraj przez tę szybę, przez którą we wrześniu 1939 roku wpadł odłamek, tym razem wleciał pocisk karabinowy, ale nie odbił się rykoszetem od stołu, tylko ugrzązł w nim – dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przedtem była dziura od odłamka! Co to znaczy?

Okolo północy zjawia się u nas wraz ze swoją matką Janek Kaczorowski. Są zakurzeni i przerażeni! Ich dom trafiony pociskiem artyleryjskim płonie! Oni wyszli tak jak stali i uciekli do nas. Niemcy są już podobno na Kercelaku. Co robić? Po krótkiej dyskusji przez tyły naszego domu i przez tzw. „kwarantannę” wydostajemy się na Ogrodową i tą samą prawie drogą co w dzień udajemy się w kierunku Starówki. Ale nie wszyscy wychodzą. Tylko ja z rodzicami, Kaczorowski z matką, Zawisłakowie i chyba jeszcze 4-6 osób. Przekraczając ul. Żelazną trzeba się pochylić za barykadą, bo od strony Leszna (budynek żandarmerii) możliwy jest ostrzał. Na odcinku między Żelazną a Orłą mała grupka powstańców, a na chodniku stoi granatnik wycelowany w kierunku Kercelaka.

Najbardziej niesamowite jest przejście przez labirynt opustoszałych pomieszczeń budynków banków (obecnie muzeum im. Jana Pawła II oraz ratusz), bo na Plac Bankowy nie można wyjść – możliwy ostrzał od Ogrodu Saskiego. Wreszcie dochodzimy do Leszna i przez Tłomackie, gdzie legitymuje nas placówka powstańcza, a potem Długą docieramy na Barokową. Instalujemy się w pomieszczeniach fabryczki wyrobów bakelitowych inż. Badowskiego, w suterynie domu przy Barokowej 4. Tych, co zostali w naszym domu na ul. Chłodnej czekał niestety tragiczny los. Wprawdzie kobiety i dzieci po przejściu przez swoje piekło „humanitarnej opieki niemieckiej” w zdecydowanej większości ocalały, ale dorośli mężczyźni – w tym i ojciec mojej matki – wszyscy zostali rozstrzelani. Niektórzy zginęli na miejscu, inni w zgliszcach Hali Mirowskiej.

Pomimo dotychczasowych przejść i odzywającego się przeziębienia aż korci mnie, aby coś robić. Już 8 sierpnia „poniosło mnie” i przez parę godzin pomagam przy budowie barykady na ul. Hipotecznej u jej wylotu na Bielańską. Ale to jeszcze nie to! Wreszcie „przyhołubił” mnie inż. Badowski. Jest teraz fotoreporterem BIP. Pomagam mu kilka razy w jego wyprawach na tereny ruin getta i w rejon ul. Stawki, gdzie robi zdjęcia i gdzie w zdobytych magazynach niemieckich powstańcy znajdują masę mundurów (odtąd cała „Zośka” – doborowy batalion harcerski zgrupowania „Radosław” – będzie elegancko umundurowana w zdobyczne „panterki”), a także duże zapasy cukru, mąki oraz innej żywności, które to zapasy zasilą szczupły stan posiadania artykułów spożywczych na Starówce. Niestety niektórzy (na szczęście nieliczni) od „Zośki” przy okazji „bawią się w szabrowników” na własny użytek.

W budynku „Hotelu Polskiego” odkryto spory zapas środków opatrunkowych, które wraz z innymi pomagam przynieść do nowoczesnego budynku szkoły na Barokowej. Zaraz za pierwszą „turą” w jednej sali na I piętrze szkoły, gdzie nosimy te zapasy, odkryłem fortepian. Nie wytrzymałem, żeby nie usiąść przy nim i nie pograć trochę. Zaraz obok mnie zgromadziło się kilkoro dziewcząt i chłopców w panterkach i proszą, aby im zagrać harcerskie i okupacyjne piosenki. Gram więc „Konspirację” i „Płonie ognisko”, „Patałacha” i „Szturmówkę”. Oni zaczynają śpiewać i... biją mi brawo, co tak mnie speszyło, że uciekłem od fortepianu.

Jako znający sprzed Powstania Starówkę, kilka razy służę za przewodnika 2 – 3-osobowym grupkom sanitariuszek, z którymi przenoszę środki opatrunkowe z „Hotelu Polskiego” do szpitali, w tym i pod „Krzywą Latarnię”. 13 sierpnia idziemy przez podwórka wzdłuż Długiej od Miodowej do Kilińskiego. Prerażający widok! To tu, to tam widzimy kawałek nogi, kawałek ręki, strzępy ciała! Co się stało? Gdybyśmy szli tędy 20 minut wcześniej to i nasze szczątki też byłyby tak rozrzucone od wybuchu na Kilińskiego czołgu-pułapki.

15 sierpnia święto. Idę z mamą do kościoła garnizonowego na Długiej na mszę, którą kończy śpiew: „Pod Twą obronę Ojczyzna na Niebie...” Nigdy ani przedtem ani do dzisiaj nie odczułem tak głęboko sensu słów tej pieśni!

Następnego dnia znów idę z dwoma sanitariuszkami, ale wobec ostrzału decydujemy się przejść podwórkami już od ul. Hipotecznej. Dochodzimy wśród ruin do jakiejś bramy na Miodową. Z przerażeniem stwierdzam, że wyszliśmy za daleko w stronę Senatorskiej. Nasze barykady daleko w lewo. Przed nami porozrzucane szczątki kanadyjskiego Liberatora, który lecąc ze zrzutem dla powstańców został w nocy 14 sierpnia zestrzelony i rozbił się wzdłuż Miodowej. Przed nami brama jakiegoś domu po drugiej stronie ulicy. Wstyd mi zwracać, więc mówię do sanitariuszek – „skok”. Zrozumiały i w kilku susach przebiegły przez ulicę, a ja za nimi. W chwili, gdy dobiegałem do przeciwnego chodnika potknąłem się o coś i jak długi rąbnąłem na chodnik tuż przy rynsztoku. W tym samym czasie usłyszałem świst pocisków i strzały od strony Senatorskiej. Ale nie ruszam się, chociaż nic mi nie jest. W bramie parę metrów przede mną przerażone sanitariuszki nie wiedzą co robić. Strzały i świst kul ucichły, więc przeleżawszy jeszcze chwilę, oparłszy podkuloną nogę o jakiś występ „szczupakiem” wpadłem do bramy. Serie znów się posypały, ale byłem już bezpieczny. Rezultat? Jedyne otarcia skóry na dłoniach i nosie.

Gdzieś około 22 sierpnia, wracając z „Hotelu Polskiego”, w którym już nic nie było z zapasów sanitarnych, na barykadzie zamykającej Barokową od Długiej znalazłem radioodbiornik w całkiem niezłym stanie, tyle że lampy miał potłuczone. Zabrałem go do piwnicy – schronu pod nr 4 z nadzieją, że po powrocie do domu (jeszcze człowiek miał takie nadzieje!) jakoś doprowadzę go do ładu. Ale zebrani w piwnicy narobili wrzasku, że „jak tu przyjdą Niemcy, to nas wszystkich wymordują”, więc odniosłem radio na barykadę. Zły odwróciłem się i po trzech lub czterech krokach potknąłem się

o gruzy zaścielające ulicę. Upadłem i to mi znów uratowało życie, gdyż w tej samej niemal chwili kilka metrów przede mną na ulicy rozerwał się pocisk artyleryjski. Działo się to wszystko tak niemal równocześnie, że ludzie stojący w wejściu do domu nr 4 mieli wrażenie, że już koniec ze mną. Ja zaś tylko lekko oberwałem w prawy policzek. Szramę, niewielką mam do dziś, ale i do dzisiaj nie słyszę na prawe ucho. Wbiegłem do domu, gdzie mi przemyto i opatrzone policzek. Gorzej wyszedł por. Badowski, z którego pleców tylko po przemyciu wódką któraś z kobiet wyjęła pensetą około 20 drobnych odłamków.

Atmosfera w domu nie do zniesienia, ale ojciec spotkał znajomego, który nas zaprosił do siebie, więc 30 sierpnia przenosimy się do siedziby Archiwum Akt Nowych na Podwale 15. Jest tu o tyle cicho, że w pobliżu nie bombardują, nie ma ostrzału artyleryjskiego, bo dwa domy dalej na rogu Kapitulnej są już pozycje niemieckie. Jest tu kilku powstańców, w tym jeden ciężko ranny w nogę. Ma chyba już początki gangreny. W nocy, a raczej późnym wieczorem nagle gdzieś znikają. Nagle późną nocą wybucha odległa, gwałtowna strzelanina.

Nad ranem powstańcy wracają, ale nie wszyscy. Niektórzy widać świeżo ranni. To była próba przebicia się do Śródmieścia, niestety pomimo wielkich strat nieudana. Siedzimy więc cicho przez cały 31 sierpnia i przez 1 września. Dociera jeszcze do nas chyba „Biuletyn Informacyjny”, w którym czytam m.in. artykuł na piątą rocznicę wybuchu wojny. Znowu późnym wieczorem powstańcy znikają. Co robić? Nad ranem cichy krzyk czy głośny przeraźliwy szepot – Niemcy! Zrywamy się i przez przejścia przebite w ścianach uciekamy pod 17 i zaraz dalej pod 19, gdzie w kilka osób wpadamy do wejścia jakiejś piwnicy, ale równocześnie przez bramę od ulicy wpadają Niemcy!

– Halt, Halt! Hände hoch! Raus!

Potulnie, wolno wychodzimy. Na ulicy Podwale stoi już sporo ludzi wyciągniętych z innych domów. Wreszcie pomału, otoczeni Niemcami, ruszamy w stronę Placu Zamkowego. Jest nas coraz więcej. Wreszcie po minięciu Placu Zamkowego, bokiem Nowego Zjazdu idziemy w dół na Mariensztat i Bednarską do góry, znów na Krakowskie Przedmieście, Trębacką, Pl. Piłsudskiego, Wierzbową, Senatorską do Elektoralfnej i dalej Chłodną na Wolę. Przechodzimy obok naszego domu na Chłodnej. Nasz, jak i wszystkie domy „na trasie” płaczą wypalonymi oczodołami dawnych okien i drzwi. Dochodzimy wreszcie do kościoła pw. św. Wojciecha na Woli. Jest tu na całym terenie chyba około tysiąca ludzi, kobiety, dzieci, starzy i młodzi; ranni, chorzy i zdrowi. Niemcy przeganiają nas po placu naokoło kościoła, dokonując przy tym jakiejś niezrozumiałej selekcji. Ojciec zostaje od nas oddzielony, a ja z mamą w dużym tłumie ruszamy kolumną obstawioną przez Niemców przez ul. Bema w kierunku Dworca Zachodniego. W połowie drogi z jakiegoś budynku fabrycznego pracujące tam kobiety rzucają w tłum ćwiartkami chleba. Udało mi się złapać taką ćwiartkę, którą schowałem za pazuchę, bo nie mieliśmy nic. Ani walizki ani żadnej torby!

Dochodzimy już do terenów kolejowych. Stoją tam kolejarze i przechodzącym do podstawianych naczyń wlewają jakąś gorącą zupę. Rozpacz! Nie mamy żadnego naczynia! Ale kilka kroków w bok, w trawie wśród śmieci dostrzegam puszkę po konserwie. Nie bacząc na nic rzucam się po nią i podchodząc do miejsca, gdzie stali kolejarze. Do tej brudnej puszki dostaję do pełna gorącego kapuśniaku z kartoflami. Nie mamy łyżki, więc pijemy z mama prosto z naczynia, a palcami wybieramy kartofle i kawałki kapusty. Boże, nigdy w życiu nie jadłem tak wspaniałego, gorącego kapuśniaku jak wtedy, drugiego września 1944 roku przed Dworcem Zachodnim! Jeść trzeba było jednak idąc przez cały czas. Stawać nie wolno. To nasz pierwszy gorący posiłek chyba od ponad tygodnia!

Wreszcie gramolimy się na peron, przy którym stoi już skład elektryczny. Po kilkunastu minutach dojeżdżamy do Pruszkowa, ale pociąg nie staje na peronie, tylko naprzeciw słynnej bramy do Zakładów Taboru Kolejowego, gdzie Niemcy urządzili tzw. „Dulag”, przez który przeszła w czasie i po upadku Powstania cała Warszawa... A raczej ci wszyscy, którzy ocaleli z tego piekła! Ale i tu nie było nam dane zagrzać miejsca, bo ledwie weszliśmy do jakiejś hali, a już nas wygoniono i popędzono do stojącego składu bydłych wagonów. Po załadowaniu nas, pozamykano drzwi z zewnątrz i już około 17.00 pociąg ruszył.

Jedziemy już drugi dzień. W nocy z 3 na 4 września stoimy na jakimś dworcu w Berlinie. Jest nalot, ale bomby padają daleko. Nad ranem ruszamy, ale po kilkudziesięciu minutach pociąg znowu staje. Po chyba godzinie jakieś wrzaski. Wtem otwierają się drzwi i pada: „Alle Manne Raus!” Płacz, krzyki, ale Niemcy są bezwzględni. Wyrzucają wszystkich mężczyzn (jeżeli do takich można zaliczyć również 10 czy nawet 8-letnich chłopców). Formuje się kolumna. Ruszając w drogę zdążyłem jeszcze odczytać nazwę stacji: Oranienburg. Dochodzimy do terenu ogrodzonego drutami i wieżyczkami wartowniczymi. Za drutami liczne baraki. Wchodzimy przez bramę na której widnieje napis: „Arbeit Macht Frei”. Jest 4 września 1944 roku.

I tu zrobię przerwę w moich wspomnieniach. Dlaczego? Otóż gdy w sierpniu 1945 roku wróciłem z Niemiec, przy różnych spotkaniach wypytywano mnie jak tam było. Opowiadałem jak umialem, wiedząc że nie potrafię oddać nawet jednej tysięcznej tego, co naprawdę działo się w obozach koncentracyjnych (a przeszedłem dwa: Sachsenhausen w Oranienburgu, a potem od końca lutego 1945

do wyzwolenia w dniu 5 maja 1945 – Mauthausen koło Linzu w Austrii). Mimo to słuchający mi nie wierzyli i mówili, że fantazuję. Że to niemożliwe, by działy się takie rzeczy! Od tej pory zaciąłem się i postanowiłem, że o obozach koncentracyjnych będę rozmawiał tylko z tymi, którzy tam byli. Z innymi nie! Bowiem żadna książka, żaden odczyt, żaden film nie są w stanie oddać nawet w części ani atmosfery, ani faktów kacetów!

Wracam więc do tego, od czego zacząłem te okruchy wspomnień. Jest 8 maja 1945 roku. Z głośników słychać: „...Zakończyliśmy naszą transmisję. Żegnając się z państwem mamy nadzieję, że już niedługo znowu odezwą się na swoich falach i ze swoich siedzib polskie radiostacje Warszawa, Baranowicze, Łódź, Poznań, Toruń, Katowice, Kraków, Lwów i Wilno! Do usłyszenia już w wolnej Polsce!”

W dwa czy trzy dni po zakończeniu wojny, na skutek wycieńczenia nie miałem już siły chodzić. Transportem zorganizowanym przez wojska USA z chyba około tysiącem Polaków przewieziono mnie do Regensburga, gdzie trafiłem do szpitala. Spędziłem w nim ponad dwa miesiące dochodząc do siebie. Ważyłem wtedy 32 kg, czyli równo połowę tego co przed Powstaniem.

W końcu organizują transport do Polski. Powodowany tęsknotą, wbrew różnym ostrzeżeniom i niezbyt jeszcze zdrow, wyrażam chęć wyjazdu. Jedziemy tydzień! W międzyczasie w Pilźnie na terenie Czech dłuższy postój – cały dzień. Spotykamy tu po raz pierwszy „oswobodzicieli” z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Ci zaś dokonując „przeгляdu” towarowych wagonów, jakimi jedziemy, grabią nas – nędzarzy! Zwłaszcza „czasy”, „garmoszki”, „złoto”. Ot, kultura przedstawicieli „najlepszego na świecie systemu”. „Oczyszczony ideologicznie” przez sowieckich kryminalistów pociąg znowu rusza dalej. Wreszcie jednej nocy w strugach ulewnego deszczu przekraczamy w Zebrzydowicach granicę Polski. Jest 29 lipca 1945 roku. Moje 15 urodziny.